

Cieężko jest nie być turystą...

15 marca 2009

Niedawno wybrałam się na południe Egiptu. To wstyd być w tym kraju i nie obejrzeć niezwykłych zabytków Asuanu i Luksoru. Zachwyciły mnie świątynie, krajobrazy, pustynia, ale poczułam też na własnej skórze jak ciężko jest być już nie tylko hawagą – cudzoziemcem, ale też turystą.

Wycieczkę zaczęłam od Asuanu. Po całonocnej podróży pociągiem z Kairu dotarłam na południe. Nadal chwałę sobie ten środek lokomocji – wygodne, lotnicze fotele, umiarkowana cena (57LE w drugiej klasie, czyli ok. 40zł), dwanaście godzin i byłam na miejscu. Jako, że mieszkałam w hotelu w centrum miasta tuż przy suqu (bazarze), od razu stałam się ofiarą wszelkiego typu naganiaczy. Jest to specyficzny typ człowieka. Umie zachwalać swój sklep w kilkunastu językach, nie zawsze poprawnie gramatycznie, nie zawsze z dobrą wymową, ale zawsze wytrwale. Gdy tylko pojawi się jakikolwiek cudzoziemiec w zasięgu wzroku naganiacza, ten niczym myśliwy rzuca się na niego z krzykiem You can see my shop! (trochę bez sensu), albo tekstem dopasowanym do narodowości ofiary, czyli dobra cena, come my friend lub wydaje dziwne dźwięki, które mają być japońskim. Nie zawsze rozpoznanie skąd ktoś pochodzi się udaje i do mnie na przykład wszyscy mówili po francusku.

Przejdzie około kilometra środkiem suqu jest próba dla każdego człowieka, którego życiową pasją nie jest użeranie się ze sprzedawcami. Są różne sposoby na przetrwanie. Mój ulubiony to na głuchego. Należy udawać, że się nie słyszy i nie rozumie wszystkich zachęt do kupna chustek, papirusów i świecących w ciemności faraonów. Można także starać się odpowiadać nie, dziękuję lub jego arabski odpowiednik la, szukran, ale jest to zawsze jakaś odpowiedź i chcąc nie chcąc wchodzi się ze sprzedawcą w rozmowę, którą on za wszelką cenę będzie chciał kontynuować.

Kolejnym olbrzymim problemem, z którym muszą zetknąć się turyści i nie-do-końca-turyści tacy jak ja, jest targowanie. Niestety ku memu ogromnemu zdziwieniu w Asuanie dotyczyło ono również cen jedzenia, z czym nigdy nie spotkałam się w Kairze. W sklepach nie było np. cen napojów, a pytając się o nie słyszało się ceny z kosmosu. Próbując kupić wodę musiałam wykłócać się po arabsku, tłumacząc, że mieszkam w Egipcie, że znam ceny więc niech mi nie wmawia, że ta Cola kosztuje 10 funtów, skoro w Kairze płacę za nią 3,5. Niestety mimo moich starań nie udawało mi się kupić jej za normalną cenę i zmuszona byłam płacić 5LE. Było to dość upokarzające, bo jako cudzoziemka, więc automatycznie turystka, byłam traktowana inaczej i nic nie było w stanie tego zmienić.

Najbardziej dotkliwie poczułam to w restauracji, do której udałam się ze znajomymi na obiad. Była to zwykła pizzeria, ze stolikami na ulicy. Nauczeni doświadczeniem życia w Egipcie, nie siadaliśmy zanim nie poznaliśmy cen. Koledzy wzięli w dłoń menu w języku angielskim, a ja dostrzegłam tablicę po arabsku z wypisanymi na niej daniami wraz z ich cenami i z uwagą zaczęłam je studiować. Po chwili koleżanka powiedziała, że jest tu dość drogo, 25 funtów za Margaritę, więc może lepiej poszukajmy czegoś innego. Zdziwiłam się, bo na mojej tablicy cena za tę pizzę wynosiła 15LE. Okazało się, że ceny angielskie są znacznie wyższe od tych w menu napisanym po arabsku. Zwróciłam na to uwagę kelnerowi i powiedziałam, że będziemy zamawiać po arabsku i tak chcemy być podliczani. Od tego czasu idąc do restauracji prosiliśmy o menu po arabsku, a ja tłumaczyłam je znajomym. Żał mi tylko podróżujących, wśród których nie ma osoby czytającej w tym języku, bo będą musieli przepłacać...

Po powrocie z południa doszłam do wniosku, że bycie turystą jest naprawdę męczące. Jeżeli jednak chce się obejrzeć świątynie w Abu Simbel, Karnak i pojeździć na wielbłądzie w Asuanie, to się turystą, chcąc nie chcąc, staje. Nie pozostaje więc nic innego jak tylko zaakceptować taki stan rzeczy i stać

się turystą-stoikiem.

Autor: Magdalena Pinker

Źródło: [Arabia](#)